

---

---

**TOMASZ AUGUSTYNOWICZ**

## **OKRĘGOWE MIASTO JAKUCK**

Jakuck, założony w 1647 r., przez długi czas nazywany był „jakuckim więzieniem”. Miasto leży na 61 stopniu szerokości północnej i 147 długości wschodniej na lewym brzegu Leny, na równym, nizinym terenie. Po jego południowo-zachodniej stronie znajduje się kilka jezior, które całkowicie wysychają w okresie letnich upałów. Największe nazywa się Tałoje. Podczas wiosennych wylewów Leny osiąga ono największą głębokość, latem zaś przekształca się w wielką kałużę, której cuchnące opary dokuczają całemu miastu, a w szczególności mieszkańcom zachodniej części. Dwanaście lat temu zaproponowano, aby oczyścić jezioro poprzez spuszczenie wody albo ogrodzenie go żerdziami i obsadzenie brzegu różną roślinnością celem zapobieżenia dostawania się do niego nieczystości z miasta. Jednak ani jednego ani drugiego zamierzenia nie udało się zrealizować. Wskutek tego jezioro, nie doczekawszy się oczyszczenia, prawie całkiem wyschło, dlatego że w ostatnich latach wiosenne rozlewy rzeki były niewielkie. Obecnie prawie cały teren wokół jeziora, zalewany wcześniej wodą, pokryty jest bagnami.

Od strony wschodniej do odnogi Leny przylega miejski plac. Po pęknięciu lodów w pierwszej połowie maja rzeka przybrała i teraz rozlewa się po całym tak zwanym „miejskim obniżeniu terenu”, które rozciąga się na dwie wiorsty w kierunku zachodnim. Bywają takie lata, że wskutek nagromadzenia lodu woda w korycie rzeki podnosi się bardzo wysoko i pomimo, że część wybrzeża jest chroniona od jej naporu wody drewnianym wałem, niewiarygodnie szybko mknie ona na ten depresyjny rejon i napełniwszy go wcina się we wszystkie części miasta, powodując powódź. Powódź ta jednakże nie jest stała; znika tak szybko, jak się pojawia, nie czyniąc żadnych szkód głównym budynkom.

Jakuck przecinają dość symetrycznie poziome i pionowe ulice, których łącznie jest trzynaście. W mieście jest około 356 domów; w tym sześć budynków urzędów oraz należących do różnych instytucji i 340 domów prywatnych (kupców, duchownych, mieszczan i kozaków). Znajduje się tu 11 cerkwi, w tym sześć murowanych, 3 drewniane i dwie urządzone w domu. Wszystkie budynki są drewniane, z wyjątkiem dwóch murowanych domów; domy mają dość niezgrabną formę; zniekształcają je wysokie, strome dachy nieodpowiednie do rozmiarów całej zabudowy. Niektóre sprawiają wrażenie dwupoziomowych, ale są tylko postawione na wysokich fundamentach. Latem niezamożni mieszczanie oraz kozacy wstawiają w okna mikę, a zimą – lód. Przy żadnym domu nie ma wychodka, a buduje się tylko czasowe kryjówki, mało intymnie, pod gołym niebem, koło domu, czasami pod samym oknem, odgradzając te miejsce gałęziami,

świerkami albo jodłą. Pomijając już nieustanny fetor i brud na podwórzu, odwiezanie wychodków w chłodne i słotne dni powoduje przeziębienie, czego następstwem są często choroby hemoroidalne, różne choroby organów brzusznych, a także nieregularne miesiączki. Wszystkie te przypadki dotyczą dwóch trzecich mieszkańców miasta.

Ludność Jakucka liczy około trzech tysięcy osób obu płci. Zamieszkują go rdzenni kupcy i mieszczenie (około 1000 osób), kozacy miejscowego pułku kozackiego, regularnego wojska kwaterującego w mieście (około 200 osób); urzędnicy miejscy, inteligencja oraz Jakuci, których część służy u kupców, mieszczan i duchownych, a pozostali zajmuje się rzemiosłem i drobnym przemysłem. W skład ludności miasta wchodzi także zesłańcy.

\*\*\*

Suma obrotów handlowych Jakucka przewyższa rocznie milion rubli. Raz do roku, a konkretnie wraz z otwarciem żeglugi na Lenie, z jej górnych dopływów kierują się do miasta dziesiątki drewnianych statków. W Kaczudze ładują na nie przeróżne towary, głównie takie, na które jest stałe zapotrzebowanie, jak artykuły papierowe, grube sukno, herbata cegiełkowa, czerkieski tytoń czy różne drobiazgi niezbędne w życiu mieszkańców tych terenów. Duża część tych statków nazywa się handlowymi. Zatrzymują się na drodze w znanych miejscach przy brzegu rzeki, sprzedają towary miejscowym i już tylko z resztkami przyjeżdżają do Jakucka między 5 a 10 czerwca. Pozostałe statki nazywa się przechodnimi, gdyż po wypłynięciu z Kaczugi bez przystanków płyną do Jakucka, dokąd przybywają pod koniec maja lub na początku czerwca. Tymi ostatnimi przywozi się towary bardziej odpowiadające gustom i potrzebom mieszczan. Można w nich znaleźć drogie, jedwabne materiały, chusty oraz szale, damskie nakrycia głowy, koronki warszawskie, obuwie, cienkie sukna, holenderskie płótno, gotowe męskie płaszcze, różne przybory kolonialne, obrazy, wina i dużo innych przedmiotów zbytku. Statki należą do irkuckich kupców.

Wraz pojawieniem się pierwszych statków handlowych w mieście zaczyna się wielki ruch: każdy śpieszy obejrzeć towary i zapytać o ich ceny, a odwiedzając codziennie przystań pod pretekstem spaceru, kupuje dla siebie, co mu potrzebne. Chociaż na jakucki jarmark przeznaczone są dwa miesiące – czerwiec i lipiec, kiedy sprzedaż toczy się swoją koleją, to jednak największy rozkwit handlu przypada dopiero na połowę lipca, kiedy już zbiorą się wszyscy kupcy ustalający obowiązujące ceny. Poza mieszkańcami, którzy zaopatrują się w tym czasie w towary niezbędne w gospodarstwie domowym na cały rok, głównymi bywalcami na jarmarku są wiejscy księża, bogaci Jakuci oraz osoby prowadzące handel wymienny z Tunguzami, Czukczami i innymi narodami północno-wschodniej części Jakucji, którzy z kolei zajmują się tylko hodowlą zwierząt. Dla nich to jakuccy kupcy zaopatrują się na czas jarmarku w herbatę cegiełkową, tytoń i przedmioty żelazne, w zamian za co otrzymują skórki z lisa, gronostaja, a przede wszystkim z czarnej wiewiórki. Sobolego futra jest na jakuckim jarmarku bardzo mało, bo przywożą go z jednej miejscowości zwanej Udskoje. W okręgu kołymskim nie ma go w ogóle, a w innych okręgach obwo-  
du jakuckiego spotyka się je nadzwyczaj rzadko.

Zgromadzone w Jakucku wyroby futrzane nabywają przybywający irkucki kupcy. Pozostałe (zwłaszcza pieśca) wysyłają oni pocztą do Moskwy na przegląd. Oprócz tego z okręgu kołymskiego i wierchojańskiego sprowadzają na jakucki jarmark dużą ilość kości mamuciej w stanie surowym, którą także transportują do Moskwy po kilkaset pudów na raz. Część pozostaje w mieście, z niej Jakuci wyrabiają grzebienie, zapinki, trzonki do noży i widelców, nożyki do przecinania papieru, pojemniczki oraz podstawki do filiżanek snycerskiej roboty, zabawki dla dzieci i inne drobiazgi.

Prawie w tym samym czasie, kiedy statki towarowe przybywają do Jakucka, na Lenie pojawia się wiele tratw z drewnem, w jakie przemysłowcy zaopatrują się zimą, aby sprzedać je mieszkańcom Jakucka. Tratwy te zajmują wszystkie małe rzeki i potoki znajdujące się w pobliżu miasta. W tym czasie urzędy, inne instytucje publiczne oraz zamożniejsze osoby zaopatrują się w opał na cały rok. Cena drewna nie jest każdego roku taka sama; waha się pomiędzy 80 kopiejkami a półtorej rubla za sążen z dostawą do brzegu i z podwyżką od każdego pół arszyna za pomiar. Sprzedaż trwa nie dłużej niż miesiąc, od połowy lipca do października, to znaczy, że do nastania pory zimowej na rzece nie widać już żadnej tratwy.

Zbyt wołowiny oraz masła za złota z kopalni w okręgu olekminskim i w guberni irkuckiej stanowi ważną formę wymiany towarowej w tym miejscu. Duże zapotrzebowanie na produkty spożywcze podniosło ich wartość w ciągu ostatnich dziesięciu lat i z pewnością wpłynęło na zmniejszenie stanu rogacizny w okręgu jakuckim, gdzie wcześniej hodowla bydła była rozwinięta na szeroka skalę. Duża ilość pogłównia oraz niskie ceny paszy pozwoliły każdemu średnio-zamożnemu Jakutowi na posiadanie dziesiątek a nawet setek sztuk bydła rogatego, które zapewniało pożywienia całej rodzinie. Można powiedzieć, że wśród Jakutów nie występowała szczególna dbałość o te zwierzęta gospodarcze. Hodowano je przede wszystkim dla zaspokojenia bieżących potrzeb. Istniały bowiem ograniczone możliwości zbytu mięsa. Jedynym miejscem, gdzie można było je sprzedać, był miejski rynek, na którym wskutek dużej konkurencji ceny były bardzo niskie. Pud wołowiny sprzedawano za 40-50 kopiejek, a pud masła można było kupić za cenę od półtorej rubla do dwóch. Przy tak niskich cenach Jakuci nie troszczyli się o rozwój hodowli ani o urozmaicenie rasy, pozostawiając naturze troskę o ich ochronę i przyrost. Cała ich uwaga była skupiona na hodowli koni, ponieważ działająca tam rosyjsko-amerykańska firma, do której należał ajanski port, potrzebowała transportu do przewozu towarów. Zajmowali się tym Jakuci, wykorzystując konie juczne, na czym zarabiali dużo pieniędzy. Wraz z zaprzestaniem handlu w porcie ajanskim skończyła się możliwość dobrego zarobku, ale wkrótce pojawiło się nowe źródło dochodów, mianowicie zapotrzebowanie robotników kopalni złota na wołowinę i masło krowie. Jakuci, którzy wcześniej nie dbali o poprawę jakości swoich stad, zaczęli zabijać bydło w celu sprzedaży mięsa pośrednikom, którzy jeździli po obwodzie jako „kopalniani dostawcy”. Nikomu nie przychodzi na myśl, że ten sposób zarobkowania jest najbardziej obłudny i szkodliwy. Wywożona każdego roku dużymi partiami wołowina znacznie zmniejszyła ilość bydła i tym samym bardzo zaszkodziła gospodarce hodowlanej. Dodajmy, że owi pośrednicy, skupując wołowinę z tzw. „pierwszej ręki”, płacili półtorej rubla za pud, a sprzedawali w kopalniach dwa, a nawet trzy razy drożej.

Wraz z pojawieniem się pieniędzy otrzymywanych za pracę w kopalniach złota nastąpiła zmiana w sposobie życia Jakutów. Jakut, zadowolający się wcześniej przedmiotami pierwszej potrzeby, teraz naśladując bogaczy, zaczął przejmować ich nawyki. Herbata cegielkowa stała się jego codzienną potrzebą; każdego Jakuta; w miejsce odzieży z reniferowej skóry pojawiło się sukno, papier i jedwab; w końcu dawne, proste naczynia (drewniane i z kory brzozonej) zostały wymienione nawet w uboższych jurtach na wyroby fabryczne, takie jak samowary, czajniczki miedziane, fajansowe serwisy itd. Jednym słowem, Jakuci w swym sposobie prowadzenia gospodarstwa starają się naśladować Rosjan.

Rybołówstwo stanowi ważne zajęcie ludności okręgu jakuckiego, bogatego w jeziora, w których żyje dużo karasi; chociaż nie są one ani tłuste, ani smaczne. Z gatunku ryb białych w Lenie można spotkać: nelma (łosoś syberyjski), muksuna, omuła, szczupaka i inne. Prawie cały połów jest dostarczany na jakucki rynek, a tylko niewielka ilość do kopalń, ponieważ podaje się tam świeżą rybę na stołach urzędników; robotnicy w dni postne zadowolają się rybą soloną. W niskich dopływach Leny, np. w mieście Żygańsk, połów zawsze jest obfity; dlatego część złowionej nelmy solą na miejscu, z innych wycinają tylko tłuste brzuszki. Te ostatnie (także solone) w dużej ilości oddają do sprzedaży pod nazwą „pępki” i rozwożą po całym okręgu jakuckim jako smaczne kąski. Z reszty tej ryby wytapiają tłuszcz, który po starannym oczyszczeniu stosuje się do żywności, a nieczyszczony służy do smarowania skóry, oświetlania pomieszczenia oraz innych potrzeb. Duże partie solonej ryby odprowadza się górą rzeki na płaskodennych łódkach nazywanych „kajukami”, unoszących około 500 pudów ciężaru. Pud nelmy kosztował w zeszłym roku od dwóch do dwóch i pół rubla, 1000 sztuk solonych pępków – od 40 do 50 rubli; kilka lat temu ceny były zdecydowanie niższe, tak że „pępki” były sprzedawane na bazarze w Jakucku po kopiejce za sztukę. Przyczyna wzrostu cen ryby leży nie w zmniejszeniu połowu, a w podniesieniu zapłaty za pracę, którą stale podwyższają właściciele kopalni złota, starając się w ten sposób pozyskać robotników. Zaiste osiągają sukcesy na tym polu, skupiając w swoich kopalniach najlepszą siłę roboczą, ale ich sukces odciska złe piętno na przemyśle wiejskim i przyczynia się do podnoszenia cen na wszystkie produkty. Szczególnie drogi jest chleb, którego tutaj jest bardzo mało z powodu warunków glebowych i klimatycznych, niesprzyjających uprawie roli.

Na czele duchowieństwa okręgu jakuckiego stoi eparchialny przywódca mający stałą siedzibę w Jakucku, skąd odbywa coroczne objazdy po wszystkich obwodach. Od dawna istnieje w tym mieście męski kompleks klasztorny, gdzie wszystkie budynki są drewniane. Jest on bardzo biedny i utrzymywany tylko z datków za posługi duchowe. Białe (miejskie) duchowieństwo żyje w materialnym dostatku; każdy pop ma swój własny dom. Dużą część dzisiejszego miejskiego duchowieństwa stanowią dawni księża wiejscy, którzy zostali sprowadzeni do miasta i otrzymali tutaj parafie. Niektórzy z nich piastują stanowiska katedralne; ci, którzy posiadają większe zdolności i wykształcenie, wykładają w szkole duchownej i są nauczycielami prawa w tutejszym progimnazjum, w przytułku dla bezdomnych, za co otrzymują solidne wynagrodzenie pieniężne. Parafie wiejskie zajmują spore terytoria i duchowny musi pokonywać duże odległości (setki wiorst) kilka razy do roku. Do tego domy Jakutów są tak rozproszone, że znajdują się jeden od drugiego w odległości dziesiątek wiorst, a przy tym tak mało pojemne i brudne, że duchowny nie może się w nich za-

trzymać nawet na krótki czas. Jeśli wziąć pod uwagę całą ze wszech miar trudną drogę i wszelkie niedostatki, które musi znosić wiejski ksiądz podczas objazdu swojej rozległej parafii, to nie można nie zgodzić się z tym, że jego obowiązek jest bardzo ciężki, a praca wynagradzana tylko skromnymi datkami parafian. A poza tym źli ludzie nie szczędzą wrogich słów temu utrudzonemu człowiekowi i jakby z zawiści o beztroskie na pozór życie starają się wzbudzić wątpliwości społeczeństwa na temat bezinteresowności i dobroduszości każdego tutejszego parafialnego księdza.

\*\*\*

Jakucka administracja obwodowa odnosi się do tego kraju z dużą troską i we wszystkich jej przedsięwzięciach można dostrzec pozytywne wysiłki dzięki inicjatywie generał-gubernatora Syberii Wschodniej i jego szczerym intencjom. Mieszkańcy tej krainy widzą w przedstawicielu administracji nie tylko surowego stróża prawa ścigającego nadużycia, ale także człowieka inteligentnego, sprawiedliwego, pokornego, przystępnego dla wszystkich i starającego się zrozumieć sytuację każdego, nie ulegając w swoich przekonaniach wpływowi postronnych. Tak mówią w Jakucku o naczelniku tutejszego kraju.<sup>1</sup> Główne zadanie jakuckich urzędników to troska o dobrobyt tutejszych plemion i wykorzenienie łapówkarstwa wśród urzędników niższych szczebli, lecz niestety zadania te są bardzo trudne do wykonania i czasami nie przynoszą rezultatu. Przyczyna leży głównie w nieznanomości przez administratorów języka jakuckiego, którym władają tylko nieliczni, lecz na ich pomoc nie zawsze można liczyć. Dlatego wszystkie dokumenty urzędowe sporządzane są w języku rosyjskim i ograniczają się w dużej mierze do niekończącej się korespondencji obfitującej w nakazy, napomnienia, ostrzeżenia i przymuszenia. Rozporządzenia naczelnika okręgu o wszelkiej poprawie bytu społeczności są niewykonalne w świetle praw obcoziemców tylko dlatego, że zostały wydane w języku rosyjskim – dla nich niezrozumiałym. Chociaż starsi plemienni mają stały dostęp do gubernatora, to z powodu nieznanomości rosyjskiego w swoich osobistych kontaktach potrzebują tłumacza. Ta okoliczność bardzo ogranicza społeczność plemienną, ponieważ w ważniejszych sprawach nie potrafi wyrazić swoich potrzeb ani skarg na krzywdy w obecności osób trzecich w obawie przed prześladowaniami w przypadku rozgłosu. Tłumaczami są zazwyczaj kozacy, którzy nie przekazują wiernie gubernatorowi informacji tubylców, a tym z kolei odpowiedzi gubernatora.

Policja, zarówno miejska, jak i ziemska znajduje się w rękach biurokratów (miejscowych ziomków), którzy mówią po jakucku i dlatego ich stosunki z Jakutami są w dużej części tajemnicą i wymykają się kontroli okręgowego zarządu, do którego prawie nigdy nie dochodzą skargi Jakutów na policję. Naczelnictwo, widząc w tym dowód dobrego zarządzania, doszło do logicznego wniosku, że „jeśli się nie skarżą, to znaczy, że są zadowoleni” – i z pełnym zaufaniem odnosi się do domniemanej praworządności urzędników policji.

Sąd, zarówno w przypadku ciężkich spraw, jak i wykroczeń, rozstrzyga je według plemiennego wymiaru sprawiedliwości (składającego się z naczelnika i starosty) bez żadnych określonych reguł: sprawy są prowadzone według porządku, stwarzającego duże pole do nadużyć. Chociaż prawo daje Jakutom moż-

---

<sup>1</sup> Generał-major Wiktor Pawłowicz de Witte.

liwość kierowania swoich skarg do sądu okręgowego lub policji okręgowej, to jednak ci niechętnie z tego korzystają, woląc zakończyć sprawę na miejscu według rodzimego sądu niż wyruszyć do miasta i stosować się do wszystkich formalności „sądu pisemnego” (tak go nazywają Jakuci).

\*\*\*

Życie codzienne Jakucka wygląda tak jak w wielu prowincjonalnych miastach, które oddalone od cywilizacji i władzy pogrążają się coraz głębiej w moralnym zastoju, a ich życie towarzyskie, sprowadzające się tylko do codziennych niesnasek, nie wygląda zbyt obiecująco. Przybyszowi od razu rzucają się w oczy fizjonomie mężczyzn i kobiet typu azjatyckiego; śniada skóra, wystające kości policzkowe, niskie czoło i wąskie oczy natychmiast ujawniają jakucką rasę, urozmaiconą poprzez przemieszanie z Rosjanami. Naród jakucki, składający się kiedyś z niezależnych plemion, został pokonany przez garstkę kozaków. Do tej pory jeszcze koło miejscowego soboru i innych miejsc zachowały się trzy bądź cztery drewniane wieże z częścią drewnianej ściany, stanowiącej kiedyś ogrodzenie „jakuckiego miasteczka”.

Spoza tego ogrodzenia odważni kozacy odstrzelili się z pistoletów i samozapłonów od strzał, którymi zarzucali ich broniący miasta Jakuci. Po licznych potyczkach część rosyjskich śmiałków triumfowała nad wielkimi hordami tubylców, zmuszonych do złożenia broni i poddania się rosyjskim prawom. Jakuci szybko pogodzili się z utratą niezależności, jednak rosyjski rząd, który wziął ich pod swoje panowanie, nie opóźnił się z wysłaniem tam swoich wojewodów i urzędników, a także umocnił szeregi straży wewnętrznej, zsyłając do miasta kozaków z innych miejscowości Syberii. Ci, jako w dużej części ludzie pozbawieni rodziny, zostali tutaj osiedleni na stałe i byli zmuszeni szukać sobie żon wśród tutejszych kobiet. To powinowactwo przybyszów z miejscowymi bardzo szybko zbliżyło podbitych ze zdobywcami do tego stopnia, że jedni od drugich zaczęli szybko przejmować język, obyczaje i wierzenia, co ukształtowało osobliwy jakucko-rosyjski typ, którego ślady, widoczne na twarzy niemal każdego mieszkańca miasta, rzucają się w oczy każdemu. Wskutek tego już dawnego skolidowania wielu kozaków oraz mieszczan władza językiem jakuckim lepiej niż rosyjskim, a także w stylu życia stosują się do jakuckich obyczajów.

Jakuci, wraz z przejściem na chrześcijaństwo, przejęli chrześcijańskie imiona oraz rosyjskie nazwiska, dlatego bardzo często można spotkać nawet w odległej urasie Jakuta, który nie zna słowa po rosyjsku, ale nosi czysto rosyjskie nazwisko. Wiele nazwisk przejęli od urzędników, którzy byli ich ojcami chrzestnymi. Stały napływ Rosjan do tego kraju (urzędników, kupców, mieszczan, przemysłowców), jaki rozpoczął się ponad 200 lat temu, trwa do czasów obecnych. Element jakucki jest silnym hamulcem dla wprowadzenia oświaty; od przyjeżdżających z rosyjskich miast, a także ze stolicy, wśród których spotyka się bardzo wykształconych ludzi, Jakuci przejęli tylko zewnętrzny blask i zasady towarzyskie. Jeden z byłych gubernatorów założył tutaj jakuckie stowarzyszenie społeczne celem zbliżenia obyczajowego przedstawicieli wszystkich grup społecznych w mieście i tym sposobem zapoznania ich z niezbędnymi zasadami współżycia społecznego, jakimi kierują się Rosjanie. W takiej formie tutejsze stowarzyszenie, nazwane „błogosławionym”, jest dostępne dla wszystkich

i znajduje się pod ścisłą kontrolą naczelnika okręgu, strzegącego moralności i przyzwoitości mieszkańców. Członkami klubu oraz starszyny są przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Kto po raz pierwszy odwiedził stowarzyszenie, ten z pewnością odniesie pozytywne wrażenie; z wyglądu przyzwoite choć skromne urządzenie nie przywodzi przybyłemu na myśl, że przebywa na prawie dzikich peryferiach Azji. Dobrze ubrani młodzi mężczyźni uważają siebie za prawdziwych dżentelmenów; dziewczęta oraz młode damy w niebogatych, lecz uszytych ze smakiem sukniach, są bardzo miłe, skromne, bez żadnego mizdrzenia się oraz nie wydają się nieśmiało w rozmowach, które potrafią ożywić trafnymi ripostami. Kobiety i młode dziewczęta zazwyczaj tańczą (muzykę wykonuje miejska orkiestra złożona z kilku artystów), a bardziej podeszli w latach rodzice spędzają czas przy karcianych stołach. W tutejszym stowarzyszeniu wszystko jest urządzone wygodnie i z prostotą, żadnych szczególnych warunków krępujących swobodę gościa; wczorajsze spotkanie trwało do północy i tylko w większe święta kończy się o godzinę, dwie później. Pierwszy opuszcza spotkanie gubernator, za nim damy oraz młodzież; pozostaje jeszcze tylko kilku mężczyzn, którzy po zakończeniu partyjki „generalskiego” goszczą się szampanem, bez wypicia którego nigdy nie rozchodzą się do domów. Mężczyźni rano zajmują się swoimi sprawami: jeden urzędowaniem, inny handlem lub jakąś swoją inną specjalnością, a wieczory każdy z nich ma wolne i poświęca je grze w karty: „generalskiej”, muszce, a czasami zabronionemu sztosikowi. Dopóki nie zbiorą się wszyscy i nie zajmą miejsca przy stołach karcianych, zebrani prowadzą rozmowy, których tematem często są jakieś przygody, jeśli nie w samym mieście to poza nim lub inna interesująca nowinka. A jeśli brakuje takich tematów, to rozmowa toczy się wokół błahostek, na przykład co powiedział jego ekscelencja na jakimś wykładzie o pewnej sprawie lub co irkucka poczta przywiozła od jego ekscelencji, czy też czym skończyła się dana sprawa itp. Dodatkowo ubarwiają swe opowieści, przy czym pytany wysuwa się na pierwszy plan przed pytającym, a ten ostatni tylko zgadza się z nim we wszystkim. Na tym polega wzajemna wymiana myśli. Siadają do kart. Już o godzinie ósmej stawiają na stół wódkę z powszechnie spożywanymi słonymi zakąskami. Co się zaś tyczy życia towarzyskiego w Jakucku, to nie różni się ono wiele od życia w innych prowincjonalnych miastach ze wszystkimi jego wadami.

W społeczności jakuckiej można spotkać niewiele osób, które interesują się naukami, czy wydarzeniami politycznymi. Wydawane tutaj pisma czyta niewielu, a zaczerpnięte z nich informacje są tematem do rozmów tylko w niektórych kręgach; lecz nie są one tak szerokie, żeby chociaż częściowo mogły wypełnić sobą te intelektualne braki, którymi cechuje się większość tutejszej społeczności.

Pod koniec grudnia 1874 r. zaproponowano mi przeniesienie się do obwodu wilujskiego (sąsiadujący z jakuckim), gdzie w tym czasie panowała ospa. Na miejsce pobytu został wybrany Wilujsk, leżący 710 wiorst od Jakucka; musiałem objechać cały obwód zamieszany głównie przez Jakutów nie znających w ogóle rosyjskiego. Obwód zajmuje 987 wiorst kwadratowych i jest ponad dwa razy większy od Francji. Ludność liczy 55 tysięcy osób obu płci, w tym cztery tysiące Tunguzów, którzy wiodą życie koczownicze, głównie w sąsiednich obwodach oraz 280 rosyjskich chłopów mieszkających w osadzie Nurbinsk. Objazdy tutejszych terenów po nieprzejezdnych drogach, szczególnie podczas silnych mrozów, wiążą się z licznymi niewygodami. Jeździ się zazwyczaj konno, a tylko Tunguzi posiadają renifery.

Od Jakucka do Wilujka najłatwiej dostać się przez las liściasty bardzo wąską drogą, po której jednak bez trudu może przejechać kibitka zaprzęgnięta w troje koni. Do takiej jazdy potrzeba trzech woźniców: jednego na kozłach, a dwóch na przednich koniach, jeden za drugim. Stacje pocztowe są położone w dużej odległości od siebie; najkrótszy odcinek wynosi 30 wiorst, a dłuższe – 40, 50, 60. Takie przejazdy od stacji do stacji są nadzwyczaj męczące i nieprzyjemne. Pomimo wygodnego wyposażenia oraz ciepłej jakuckiej odzieży odczuwa się nieprzyjemny chłód wiejący po ramionach i plecach w miarę zbliżania się do stacji pocztowej. Słowo „przyjechaliśmy” wywiera na przyjeźdnego jakiś magiczny wpływ, od razu robi mu się ciepło, lekko i wesoło; stara się jak najszybciej wyskoczyć z ekwipażu, lecz przeszkadzają mu w tym zdrętwiałe nogi. Niedługo jednak trzeba czekać na pomoc: kilka silnych, jakuckich dłoni migiem wyciąga przybysza z sani, prowadzą go, a raczej niosą do jurty, wsuwają (dosłownie) w wąskie, a przy tym nisko pochylone drzwi i na ich wysokim progu zostawiają samego. Pozostawiony w taki sposób w wąskim otworze stara się z niego wyswobodzić, lecz nie mając przed sobą punktu oparcia, odstępując z progu w dół i wpada do jurty napełnionej gęstą parą, przez którą niczego nie widać. Ten niespodziewany upadek nie przynosi mu żadnej szkody, ponieważ cała podłoga jurty jest pokryta sianem.

Gospodarz wraz ze swoją liczną rodziną zaczyna rozbierać gościa, który wygląda jak włochate, niedźwiedziowate i ośnieżone od nóg do głowy straszdyło, w niczym nie przypominające człowieka. Szybko zdejmują z niego wierzchnią odzież, oczyszczają ze śniegu i wieszają na żerdziach; mniejsze rzeczy suszą w rękach przed ogniem, do którego w tym czasie ciągną ręce woźnicy i pozostałej świty towarzyszącej tutaj zazwyczaj każdemu urzędnikowi. Każdy stara się podejść jak najbliżej ognia, żeby ogrzać zlodowaciałe dłonie i w ogóle rozmiękczyć członki w błogim cieple. Wszyscy przybliżają do ognia ściągniętą odzież, a wychodząca z niej kłębamii para jeszcze bardziej zagęszcza ciężkie powietrze w jurcie napełnione już oparami znajdującymi się za przegrodą chotonu.<sup>2</sup> Lecz przybyły nie zwraca na to specjalnej uwagi i po kilku godzinnym przebywaniu na 40-stopniowym mrozie śpieszy, by ogrzać swoje skostniałe członki. Ożywcze ciepło napełnia go tak przyjaznym uczuciem, że śmierzająca jurta z całym swoim odrażającym dobytkiem wydaje mu się jakimś baśniowym schronieniem z wszelkimi wygodami. Takim przyjemnym marzeniem poddaje się przybyły, leżąc na miękkiej podściółce (z siana lub miękkich skór) w jednej z brudnych przegródek, których znajduje się po kilka w każdej jurcie. Służą one Jakutom jako osobne pokoje, a raczej jako oddzielne łóżka zasłonięte czasami zasłonami, które są przeznaczone tylko dla bardziej oficjalnych gości. Kiedy przybysze zajmują się wzajemnym rozbieraniem jeden drugiego i rozwieszaniem swojej przemarzniętej odzieży, gospodarze kręcą się wokół ognia, ustawiając na nich kociołki, a dla urzędnika stawiają samowar, w który usilnie dmuchają Jakutki i ich półnagie dzieci.

Potem zaczyna się wyciąganie zapasów żywnościowych; każdy wyjmuje ze swego worka zmarznięty prowiant i niesie go do ognia. Zmarznięty chleb, nie pokrojony wcześniej, układają na cienkich deseczkach koło ognia; kawałki mięsa pieką na zaostzonych kijkach; gotują przywiezione ze sobą pierogi, rybę,

<sup>2</sup> Stajnia dla bydła rogatego, którą Jakuci urządzają w swoich jurtach za przegrodami.



parzą cegiełkową herbatę; na patelniach topią krowie masło; jednym słowem, przy ognisku odbywa się straszna bieżanina, a na ogniu słychać skwierczenie i trzask tłustych potraw, wydzielających w całej jurcie zapach, który wzbudza apetyt podróżnych. Całe to pitraszenie Jakuci wykonują brudnymi rękami, gdyż prawie nigdy się nie myją, a kiedy czasem przyjdzie im do głowy obmyć zapaćkaną twarz oraz ręce (pozostałych części ciała nie myją wcale), to biorą wodę z pierwszej lepszej kałuży.

W ogóle Jakuci są bardzo niechlujni, niektórzy nie noszą koszul, a tylko jeden długi po kolana kaftan, szyty z reniferowych skór, futrem na zewnątrz. Dolna część odzieży to tak zwane selia i buturo, które ciasno obejmują nerwy kulszowe i sięgają aż do bioder, a ostatnie w formie gołeni przymocowuje się rzemykami do seli, dochodzą one do kostek, gdzie również są przywiązywane rzemykami. Na nogi wkładają torbazy (rodzaj kozaków zrobionych ze skóry renifera). Głowę mają zazwyczaj odkrytą, a tylko z okazji święta nakładają czapki. Bogatsze Jakutki noszą koszule, ale szyją sobie tylko po takiej jednej i noszą, nie zdejmując ich do tej pory, dopóki nie zostaną z nich strzępki. Mężczyźni także nie używają koszul, a ich kostium jest taki sam jak u kobiet, tylko z tą różnicą, że ich selia jest jednolita. Dzieci są ciągle półnagie; dwuletni Jakucik nosi już torbazy, reszta jego ciała jest pokryta futrzanym kaftanem; prawie cały czas siedzą koło ogniska, by się ogrzać. Wszyscy Jakuci, nie tylko dzieci, przywykli do spędzania dnia przy ogniu, szczególnie Jakutki, wskutek czego wiele z nich cierpi na chroniczne zapalenie oczu, a niektóre całkowicie tracą wzrok.

Nie ma oddzielnych stacji pocztowych w okręgu wilujskim; wszystkie są urządzone w jakuckich jurtach. Jeśli przybysz już wcześniej wiedział, że na każdej stacji czeka go to brudne miejsce, duszące powietrze i ciasnota, to i tak zziębnięty i głodny śpieszy do niej, marząc tylko o szklance gorącej herbaty i miękkim legowisku w malutkim, ciemnym kąciku jurty. Realizacji tych skromnych pragnień sprzyja na tych terenach szybka pocztowa jazda: Jakuci w ogóle jeżdżą szybko, szczególnie jeśli urzędnik zwróci się do nich po jakucku: „jedź szybciej”; wtedy woźnica mknie galopem z krzykiem: „aha... aha... aj”, co zresztą robią i bez tego już na trzy wiorsty od stacji pocztowej. Tutejsi woźnicy są bardzo pokorni, posłuszni i starają się dogodzić pasażerowi we wszystkim, ale ponieważ większość nie zna języka rosyjskiego, to zazwyczaj patrzą mu w oczy i bezmyślnie się uśmiechają, odpowiadając: „nie rozumiem”. Takie wzajemne niezrozumienie często bardzo irytuje bardziej nerwowego pasażera, któremu i bez tego już przykrzy się długa podróż przez tajgę w taki silny mróz.

Jeśli zapytać woźnicę, ile wiorst już przejechaliśmy lub ile pozostało do końca, on tylko się odwróci, uśmiechnie i zacznie szybciej poganiać konie, nie zwracając żadnej uwagi na nadzwyczaj wąską drogę biegnącą pomiędzy drzewami, których suche gałęzie ciągle zahaczają jadącego i łatwo mogą wydfubać mu oczy, a leżące po obu stronach przewrócone wraz z korzeniami pnie – przewrócić cały ekwipunek. Także nieostrożnie zstępują oni przy wąskich brzegach do jezior, rzeczek i potoków, których tutaj jest bardzo dużo. Pasażer ryzykuje złamaniem sobie karku, jeśli nie śledzi jazdy i nie potrafi po jakucku zatrzymać woźnicę na czas słowami: „jedź ostrożniej”; wtedy dwóch woźniców schodzi z koni i podtrzymuje ładunek; bez tego ostrzeżenia oni na łeb na szyję zapuszczają się w góry, chcąc w ten sposób pokazać swoją zuchowatość. Choć przy każdym urzędniku stale jest kozak przydzielony mu za przewodnika, to w cza-

sie drogi nie przynosi on wielkiego pożytku, ponieważ idzie zazwyczaj daleko za podróżującym; dlatego podczas przejazdów od stacji do stacji podróżujący znajduje się w pełnej zależności od woźniców, co często staje się powodem wielu nieporozumień.

Na stacjach pocztowych i w ogóle w punktach, gdzie zmienia się konie, a także przy wyjaśnieniach z obcymi (tak ich tutaj nazywają), starosta nie może obejść się bez kozaka, który razem z nim służy urzędnikowi. Kozak-tłumacz cieszy się szczególnym szacunkiem u prostodusznych Jakutów, którzy słuchają go we wszystkim i bez szemrania wypełniają wszystkie jego rozkazy, wydawane często z czysto interesownych pobudek, niby w imieniu urzędników. W taki sposób jego kręctwa są powodem do narzekań i skarg na wymagania, za które władze administracyjne obwiniają w niczym niewinnego urzędnika. Oszustwa kozaka-przewodnika polegają głównie na żądaniu od właścicieli poczty (Jakuta) dodatkowych koni, rzekomo dla przedstawiciela władzy, a naprawdę wykorzystywanych do przewozu jego własnego bagażu składającego się z różnych przedmiotów, w które zaopatrują się w Jakucku celem ich wymiany na futro. Stąd biorą się częste skargi, kończące się płaceniem przez urzędników za dodatkowe konie. Kozak, wykonawszy kilka takich przejazdów, buduje sobie w mieście szeregowy domek, a nieszczęsny urzędnik ciągle musi się martwić o pieniądze na życie codzienne.

Do Wilujka przybyłem ósmego stycznia, skąd przez dwa miesiące robiłem objazdy po całym obwodzie celem doglądania chorych. Miasto to jest gorsze od każdej rosyjskiej wioski: leży jakby w kotlinie i w błocie, ze wszystkich stron jest otoczone lasem składającym się (w okolicach samego miasta) przeważnie z jodły z domieszką sosny i modrzewia. Stoi w nim gdzieś 36 brzydkich domów, pięć jakuckich jurt i jedna drewniana cerkiew. Na skraju miasta znajduje się więzienie, także drewniane i dość obszerne; stanowi ono jedną z lepszych budowli. Przebywa w nim tylko jeden skazany. Mieszkańcy to Rosjanie (mieszczanie) oraz Jakuci.

Czytelnik nie potrafi sobie wyobrazić, nawet w niewielkim stopniu, tej strasznej głuszy, w jakiej pogrążone jest to miasteczko oraz martwej ciszy, której ni dniami ni nocą nie zagłusza nawet szczekanie psa. Nie można tu dostrzec nawet najmniejszych oznak życia; ulice są zawsze puste, wokół panuje milczenie; wszyscy mieszkańcy są jak pogrążeni w letargicznym śnie, w jaki zapadają niedźwiedzie śpiące teraz pod śniegiem, w odległych szczelinach nieprzebytej tajgi. Gdzie nie rzucisz okiem, wszędzie natrafiasz tylko na tę milczącą tajgę, która niczym amfiteatr otacza miasto wysokim murem. Przed nią stoją masowe jodły, ciężkie od śniegu i nieruchome niczym marmurowe posągi skamieniałe od 50-stopniowego mrozu, od którego i samo powietrze tak stężało, że dostrzega się w nim całkowity bezruch. Na przestrzeni ponad 30 wiorst nie można spotkać wokół miasta ani jednego zwierzęcia, ani jednego ptaszka. W takim miejscu jest położony Wilujsk, sprawiający wrażenie zimowego, oddalonego cmentarza, którego budowle niby wielkie mogiły pokryte zaspami śniegu z daleka rzucają się w oczy. Spędziwszy w nim trzy dni z rzędu, jakby w więzieniu, poczułem tak silny smutek, że ledwo mogłem się doczekać nieuniknionego rozporządzenia miejscowej policji o konieczności objazdu obwodu. Nie odstraszały mnie ciężkie mrozy ani odrażające jakuckie jurty; przeciwnie, z radością w sercu śpieszyłem ku każdemu jakuckiemu mieszkaniu z przekonaniem, że czeka mnie tam serdeczne przyjęcie i szczerą chęć dogodzenia mi we wszystkim.

Tutejsi Jakuci w ogóle nie dbają o higienę, nie myją się, a odzież noszą bez przerwy, w ogóle się nie rozbierając nawet do snu; w wyborze pożywienia i napojów także nie są zbyt wybredni i aby ugasić pragnienie sięgają ręką do pierwszej lepszej kałuży (latem) lub roztopionego śniegu zdeptanego przez bydło. Biedniejsi Jakuci zamiast mąki żytniej używają zmielonej w drobny proszek kory sosnowej, oczyszczonej z wierzchniej powłoki. Przygotowują z niej zaczyn, mieszając z gorącą wodą. Pożywienie to nazywają „bałtuska”. Drobną rybę, którą latem łowią w dużych ilościach, zakopują w ziemi i już zgniłą gotują, przygotowując z niej potrawę pod nazwą „symba”. Ma ona nieprzyjemny ostry zapach, który rozprzestrzenia się bardzo daleko, na wiorstę, a nawet dalej od tego miejsca, gdzie się znajduje. Jakuci stosują także jako pożywienie koninę, przedkładając ją nad wołowinę, pomimo że bogatsi posiadają czasem po kilkadziesiąt sztuk bydła. Do tego nie przywiązują większej wagi do prawidłowego odżywiania, choć wydają się nadzwyczaj wstrzemięźliwymi. Niekiedy, z powodu braku zapasów, Jakut znosi głód dwie-trzy doby, a nawet dłużej, co zdarza się często podczas polowania na wiewiórki. Bywa i na odwrót, na przykład podczas wesela czy stypy zaproszony w gości długo oddaje się obżarstwu bez żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Istnieje wyobrażenie o Jakutach, że nigdy nie można ich nakarmić do syta. Najczęściej goszczą się nawzajem roztopionym krowim masłem, do którego dodają czasami koński tłuszcz i potrafią wypić na raz po kilka funtów tej mieszanki. Tłuszcz ten wykorzystywany jest poza tym jako lekarstwo na wszelkie choroby. Chociaż wszyscy Jakuci zostali już nawróceni na chrześcijaństwo i biorą udział w obrzędzie cerkiewnym, to w przypadku chorób zwracają się do szamanów, którzy do tej pory nie zniknęli nie tylko z okręgu wilujskiego, ale z całego obwodu jakuckiego. Swoje praktyki uprawiają w tajemnicy, a Jakuci tak zręcznie ukrywają ich w swoim środowisku, że policja, nie mając żadnych jawnych dowodów, nie może ich wytropić. O szamanizm podejrzewa się tych, którzy na przekór przyjętemu zwyczajowi nie strzygą włosów, a zaplatają je w warkocz zgodnie ze starym zwyczajem. Takiemu okręgowy isprawnik każe obciąć włosy, lecz na tym kończą się próby wykorzenienia owych praktyk u tego ludu. Poza tym wśród Jakutów panuje wiele przesadów, ponieważ uparcie wierzą w dobre i złe duchy, które pragną obłąskawić i dlatego praktykują obrzędy składania ofiar w tajdze, szczególnie w tych miejscach niebezpiecznych do podróżowania. Są to bardzo strome schody do jezior i rzek oraz szczyty wysokich gór, na które wspinają się bardzo wąską ścieżką leżącą nad przepaścią. Jakut, przejeżdżający koło takiego miejsca, zawsze zatrzymuje się pod jakimkolwiek pretekstem (jeśli wiezie urzędnika) i wyrwawszy kilka włosów z końskiej grzywy lub ogona wiesza je na gałęziach wielkiego modrzewia albo sosny.

Oprócz końskich włosów Jakuci, wyruszając w drogę, zaopatrują się także w inne rzeczy, jak na przykład kawałki reniferowej skóry, stare paski, które nie nadają się już do użytku, strzępki znoszonej koszuli, kości renifera i konia pozostałe po jedzeniu, kawałki połamanych sprzętów myśliwskich: cebule, łyka itp.; wszystko to wieszają na drzewach lub kładą koło tego symbolicznego miejsca ofiarnego. Ofiary składa się obu grupom duchów: dobrym, zszedłszy już do jeziora lub rzeczki lub wspiąwszy się na wysoką górę lub zimą przed zejściem w dół lub przed niebezpieczną podróżą koło przepaści. Podczas epidemii zabijają psy i wieszają na drzwiach przed wejściem do jurty, aby w ten sposób prześlagać złego ducha. Nie zdejmują go podczas całego okresu trwania epidemii w tym

przekonaniu, że zły duch zadowolony taką ofiarą nie będzie szukał nowych pośród członków ich rodzin. Policja oczywiście tępi ten szkodliwy zabobon.

Jednym z głównych nawyków Jakuta jest palenie tytoniu. Od wczesnej młodości stale noszą przy sobie ogniwo, kamień, gąbkę lub malutką, miedzianą trąbkę (chantajar), w której ledwo można było zmieścić kilka okruchów zmiętego w dłoni tytoniu. Z tymi rzeczami Jakut nie rozstaje się nawet, kładąc się spać. Palą nie dłużej niż 20 sekund, lecz za to z dużą częstotliwością. Jakut długo może znieść głód i bezsenność, jednak ani dnia może obejść się bez palenia. Używają zazwyczaj tytoniu czerkieckiego, a gdy go zabraknie, to wykorzystują korę starej topoli, którą bardzo często można spotkać w tajdze na obszarach nizinnych. Ubożsi Jakuci, nieposiadający miedzianej trąbki, robią ją z jakiegokolwiek szczapki za każdym razem, kiedy chcą zapalić. Nadają jej za pomocą noża<sup>3</sup> formę czółenka o długości dwóch werszków i szerokości pół werszka. Na płaskiej stronie wydłubują wgłębienie i wiercą w nim niewielki otwór. Wypełniają go okruchami tytoniu albo zmielonej kory topoli i przez niego wdychają dym, przykładając do ust wypukłą stronę zrobionej naprędce trąbki. Przygotowanie wymaga dziesięć razy więcej czasu niż samo palenie, o czym przekonałem się, obserwując woźniców. Każdy z nich wciągał dym od 13 do 17 razy, po czym wyrzucał za siebie zrobiony szybko chantajar.

Pod koniec lutego 1875 r. powinienem wyruszyć do jednego z oddalonych okręgów obwodu jakuckiego, a mianowicie do okręgu kołymskiego. Trzeba było znowu wybrać się do Jakucka, z którego wyruszyłem 10 marca i udałem się do miasta Średniekołymska. Leży ono 2500 wiorst od Jakucka. Każdy urzędnik, wybierający się w tak daleką podróż, zaopatruje się w prowiant na co najmniej dwa miesiące, montuje jako swój pojazd dwie-trzy pary sań i szyje dla siebie jakucki ubiór. Na przewodnika wyznaczają mu kozaka z miejscowego jakuckiego pułku kozackiego. Do Średniekołymska jeździ się trochę konno, a częściowo na reniferach, a tylko na niektórych terenach używa się psiego zaprzęgu. Pasażerowie oraz woźnica jadą na końskim grzbiecie. Na życzenie jadącego zaprzęgają do sań po jednym koniu, a tam gdzie ich brakuje po dwa renifery i 13 psów (pełny psi zaprzęg). Dwanaście psów zaprzężonych w sanie idzie parami jedna za drugą, a trzynasty wytresowany podąża przodem i nazywany jest „czołowym”; trzyma się stale wydeptanej na śniegu ścieżki, która jest tu jedyną przejezdną drogą.

**14 marca 1875 r.** Przebywszy w ciągu czterech dni około 270 wiorst od Jakucka, wczoraj rano zatrzymałem się na nocleg w uroczysku Sangaaty. Zawięzli mnie tam saniami prawie truchtem, tak żeby nie pozostawały w tyle kroczące za mną konie juczne, którymi jechał felczer, tłumacz, woźnica, transport leków, zapasy aptekarskie oraz pozostałe bagaże w tobołkach. Cały transport zajmował jedną czwartą wiorsty i poruszał się bardzo wolno po wąskiej ścieżce, tak że od noclegu do noclegu wykonywaliśmy nie więcej niż 30-40 wiorst, zatrzymując się, póki było jeszcze w miarę jasno w pojedynczych jurtach zbudowanych w różnej odległości między sobą, pomiędzy stacjami pocztowymi. Te z kolei są położone 150, 200, 500 wiorst od siebie. Ścieżka pocztowa biegnie przez lasy i tundrę. Lasy są tutaj liściaste, tylko gdzieś niedługo można spotkać

---

<sup>3</sup> Każdy Jakut nosi przy sobie niewielki nóż przywiązany rzemykiem do prawego biodra.

jodłę, a bardzo rzadko brzozę. Drzewa liściaste, chociaż dość wysokie, są cienkie i mizerne, a pomiędzy nimi znajdują się znaczne odcinki, że oko może przeniknąć głąb lasu na pół wiorsty. Lesiste miejsca są pagórkowate. Całą nizinę pokrywają tundry usiane wysokimi, zaokrąglonymi gromadkami, które w innych miejscach są tak ściśnięte, że przejechać między nimi jest nadzwyczaj trudno. Na dwie wiorsty przed uroczyskiem Sangaaly przejeżdża się koło rzeki Ałdan. Jest ona szeroka na jedną czwartą wiorsty i posiada bardzo strome zejście, a jej brzegi (zachodni oraz wschodni) są zajęte przez duże kry lodu nawarstwione w niektórych miejscach tak wysoko, że trudno znaleźć swobodny przejazd pośrodku rzeki. Wskazuje to na to, że nie zamarza ona od razu, mocno się wzburza przy silnych mrozach i na początku zimy.

**15 marca 1875 r.** W ciągu całego dnia przebyliśmy nie więcej niż 40 wiorst od rzeki Ałdan i zatrzymaliśmy się na nocleg w zajeździe Merekesza, od którego już tylko 150 wiorst do masywu wierchojańskiego. Wolne tempo dzisiejszej jazdy brało się stąd, że wygodnie było jechać wąską ścieżką przerzuconą przez las na zboczach, na której cały czas przewracały się jadące za mną sanie z prowiantem oraz rzeczami, kiedy moje sanie stale podtrzymywali woźnice. Poza tym było bardzo dużo ostrych zejść do rzeki wymagających napiętej uwagi woźnicy oraz typowej dla niego ostrożności, aby zaoszczędzić jadącemu stłuczek. Na dobitkę tych wszystkich niedogodności dzisiejszej jazdy wąska ścieżka prowadziła przez masę skupionych krzaków, których suche gałęzie uderzające po bokach jurty, na każdym kroku groziły wykluciem oczu w przypadku podniesienia się z sań.<sup>4</sup> Po tej nadzwyczaj męczącej podróży przyszło mi po raz pierwszy nocować w tzw. „powarni”. Jest to nieduży, drewniany, ośmio-kątny domek podobny do jurty, a jeszcze bardziej do rosyjskiego spichlerza, ale bez dachu; ściany jego zbudowane są bardzo niechlujnie, z wykrzywionych, modrzewiowych brewion, pomiędzy którymi prześwieca wiele szczelin przepuszczających chłód i wilgoć. W dwóch przeciwległych ścianach, po prawej i po lewej stronie zrobiono okna, w które zimą wstawia się lód, a latem są puste. Pośrodku powarni stoi czterokątne ognisko, nad którym w suficie przewiercony jest duży otwór dla wypuszczania dymu, a wzdłuż ścian stoją najprostsze legowiska z cienkich modrzewi rozłupanych na pół, lecz nieociosanych. Z takiego materiału sklecone są byle jak podłoga i sufit; ten ostatni przykryty jest z wierzchu niezbyt grubą warstwą ziemi, a podłoga zaśmieccona, a do tego nierówna, że trzeba stąpać po niej z dużą ostrożnością ze strachu, żeby sobie nie połamać nóg. Takie udogodnienia dla przybyłych, według słów pewnego kozaka, czekają ich na początku, na całym trakcie do Średniekołymska (jeśli ścieżkę wydeptaną w śniegu można nazwać traktem) z wyjątkiem tylko stacji pocztowych, które znajdują się zazwyczaj w jurtach Jakutów.

Wszystkie powarnie stoją puste, dopóki ktoś do nich nie przybędzie i dlatego są stale chłodne i wilgotne. Dokładnie taka była powarnia Merekesza, w której się zatrzymałem na nocleg wczoraj wieczorem głodny i zmęczony jazdą. Po wejściu zauważyłem wiązkę narąbanych drewn pozostawionych, jak mi potem wyjaśniono, przez tego, który zatrzymał się tu przede mną, co również i ja powi-

---

<sup>4</sup> Rodzaj bardzo wąskich i bardzo długich (na całą długość człowieka) sań, w których pasażer powinien cały czas leżeć, mogąc przewrócić się tylko z boku na bok. Poza poduszką i kołdrą nic się więcej tam nie może zmieścić.

nieniem zrobić, zanim opuszczę to miejsce. Woźnice zaczęli tymczasem rozpałać ogień, od czego zaraz powietrze wypełniło się tak gęstym dymem, że nie można było w żaden sposób ustać na nogach lub usiedzieć, więc byłem zmuszony przeleżeć ponad godzinę na brudnym legowisku z zamkniętymi oczami, nie rozebrawszy się wcześniej i ciągle zamykając usta, aby nie udusić się od dymu. Powietrze bardzo długo nie chciało się nagrzać, ponieważ drzwi nie zamykały się od chodzenia tam i z powrotem przez woźniców, znoszących to węzełki z pożywieniem, to lód do przygotowania herbaty, to drewno do ogniska. Słowem, tylko już dwie godziny po przybyciu do tego miejsca udało mi się uspokoić, uwolnić od niewygodnego, jakuckiego kostiumu podróżnego, napić herbaty, a po niej pokrzepić siły czym Bóg dał lub, ściślej mówiąc, zamarznętym prowiantem znajdującym się w zapasie, na rozgrzanie którego potrzeba było jeszcze 15 minut. Było już dawno po północy, kiedy postanowiliśmy się położyć spać. Powarnia napełniła się nagle skórami reniferów, których Jakuci używali jako pościeli i w jednej chwili cała podłoga była nimi pokryta z powodu braku miejsca na legowiskach, na których większą część zajmowały tobołki z manatkami i węzełki z prowiantem. W osobnym kąciku przygotowano spanie dla mnie, przed którym rozwieszono czum<sup>5</sup>, aby chronić mnie przed skrzącym ogniem. Każdy położył się spać, nie rozebrawszy się, i otuliwszy czym popadło od stóp do głów, ponieważ w pomieszczeniu, pomimo nieustannie podtrzymywanego ognia, panował chłód. Było tak, gdyż bardzo wiało przez nieszczelne drzwi, spod podłogi i przez ogromne szczeliny w ścianach, a wreszcie przez wielki otwór pod ogniskiem po tym, jak ogień został zgaszony. Otwór ów był tak duży, że można było przez niego obserwować gwiazdy świecące jasno na bezchmurnym niebie. Nie zmrużyłem oka przez całą noc, ponieważ drażniły mnie nosowe śpiewy wydawane przez Jakutów pogrążonych w głębokim śnie, z których jeden sprzykrzył mi się szczególnie, bo recytował przez sen swój jakucki romans. Z trudem doczekałem się poranka, a wraz z nim odjazdu z tego odpychającego miejsca.

**18 marca 1875 r.** O siódmej wieczorem zatrzymałem się na nocleg w powarni Ana-soch (bez drzwi) znajdującej się 20 wiorst od tego miejsca, przez które będzie mi trzeba się jutro przeprawić lub, jak mówią u nas, „przeprawić się przez wierchojański masyw”, który stanowi jedną z odnóg Gór Jabłonowych. W ciągu trzech dni przejechałem więcej niż 120 wiorst, przenocowałem dwa razy w bitiukulskiej stacji pocztowej oraz w powarni Kurun-Habczagaj. Podróże przez te tereny były tak ciężkie, że trudno sobie wyobrazić gorsze na całej kuli ziemskiej. Droga, a właściwie ścieżka biegnąca przez las na wysokich, nierównych, skalistych pagórkach ze stromymi stokami, a na nizinach przez gęste tundry, była ledwo widoczna, a w niektórych miejscach znikwała całkowicie. Jej szlak znaczyły tylko niewielkie drewniane krzyże, zbudowane pośpiesznie z cienkich prętów, a w kłębiastych tundrach i w jeziorach niezbyt wysokie, grube kije, do których końców były przymocowane krągłe kęпки wraz z rosnącą na nich długą trawą, przypominające z daleka ludzkie głowy z rozpuszczonymi włosami. Wiele razy przychodziło przebijać się przez gęstwinę, leżąc w saniach twarzą w dół, aby nie zahaczyć o sterczące po obu stronach gałęzie i uniknąć potrącania o pnie, które tutaj leżą na każdym kroku, oraz utrzymać się z całych sił, aby nie spaść z prawie wiszących stromych zboczy schodzących

---

<sup>5</sup> Rodzaj prześcieradła uszytego z materiału niskiego gatunku o szerokości 2,5 arszyna. Jego długość bywa różna.

w malutkie rzeczki i potoki, których po drodze spotkałem bardzo wiele. Wszystko to jednak nie przeszkodziło mi w obserwacjach danego miejsca. Poczтовая droga prowadzi w kierunku Gór Jabłonowych, to zbliżając się do nich na kilka sążni, to oddalając dalej niż na jedną czwartą wiorsty najczęściej w głąb lasu, gdzie biegnie pomiędzy modrzewiami stojącymi koło siebie tak blisko, że sanie ledwo mogły się przez nie prześliznąć. Pośród tych drzew rośnie też obficie topola, której gruby pień w jego dolnej części pokryty jest szczelną, popękaną korą, jaką Jakuci i Tunguzi dodają do tytoniu, a czasami palą bardzo drobno pokruszoną, bez żadnych dodatków. Można też tutaj spotkać dużo brzoź, które choć wysokie i zgrabne, są nadzwyczaj cienkie. Ostatni odcinek pomiędzy powarniami Kurun-Chabczaraj a Ana-soch przyszło nam przejechać po gołych kamieniach, ponieważ w tym miejscu droga położona pomiędzy odnogami gór w korycie rzeki Tukułana, latem jest dość głęboka, a jesienią całkowicie wysycha, pozostawiając na czas zimny kamieniste dno bez najmniejszego na nim śladu śniegu; zdmuchują go nieustanne i przenikliwe wiatry. W tych miejscach, gdzie pozostała po lecie woda zamarzała z powodu silnych mrozów, utworzyła się śliska lodowa skorupa, po której zaprzężone do sań renifery szły z wielkim trudem; jadę nimi już dwa ostatnie odcinki, a wiozę mnie Tunguzi. W miarę zbliżania się do powarni Ana-soch odnogi gór, pomiędzy którymi jechaliśmy, wyraźnie zbliżały się do siebie, od czego przestrzeń stawała się coraz węższa i węższa, a na końcu, przy samej powarni zmieniła się w wąski, kręty i głęboki jar okolony wysokimi górami, których szczyty sięgają wiszących nad nimi obłoków. W miejscu tym żyje wiele niedźwiedzi, na które polują Tunguzi. Pojawiają się one regularnie nad brzegiem rzeki Tukułana. Na niedźwiedzie poluje się gwintówką albo zabija je nożem, celując w samo serce. Poza tym żyje tu wiele dzikich reniferów, łosi, czarnych wiewiórek i lisów; te ostanie zabija się za pomocą trucizny, a także stawia się na nie zasadzki oraz wysyła w ich kierunku strzały.

Koczujący Tunguzi płacą do skarbu jasad w postaci konkretnej ilości czarnych wiewiórek lub po jednym rublu i trzy kopiejki za sztukę. Tutejsi Tunguzi mają wzrost powyżej średniego, są bardziej urodziwi od Jakutów, energiczni i schludni, a przy tym bardzo zręczni i usłużni. W ogóle nie jedzą chleba, a żywią się tylko mięsem renifera i niedźwiedzia, rzadko kiedy rybą. Chociaż oficjalnie wszyscy wyznają prawosławie, to nigdy nie przestrzegają postów, ponieważ tutaj nie można dostać niczego postnego; dlatego też duchowni przybywający w to miejsce w celu wykonania posług cerkiewnych przed Świętami Wielkanocnymi zmuszeni są żywić się mięsem renifera. Tunguzi bardzo lubią herbatę cegiełkową, którą piją bez niczego; tylko bogatsi z rzadka do herbaty przekazują malutkie, płaskie placuszki upieczone na drewnianych tackach na rozżarzonych węglach.

**19 marca 1875 r.** Dziś o drugiej po południu przejeżdżałem przez masyw wierchojański i o 11 rano znalazłem się u stóp gór. Najpierw było wygodnie wspiąć się na górę po dość krętym wzniesieniu o długości około pięciu wiorst, które kończy się niewielkim placykiem. Tutaj zaczyna się prawie zwisające wzniesienie na szczyt grzbietu o wysokości do 40 sążni, a może i więcej. Każdy z przejeżdżających stara się go ominąć, robiąc objazd w prawo na jakieś trzy wiorsty ścieżką położoną w niektórych miejscach nad przepaścią. Do tego jest ona tak wąska, że pasażerowie mogą nią jechać tylko konno, a konie juczne przechodzić pojedynczo. Według rady Tunguzów moje sanie trzeba było wciągnąć na szczyt przy pomocy reniferów, a ja musiałem wjechać tam konno. Jednak, zrobiwszy nie więcej niż jedną czwartą wiorsty, znalazłem się na wąskiej

ścieżce biegnącej nad przepaścią i poczułem krążenie w głowie, więc zdecydowałem zejść z konia tym bardziej, że zacząłem odczuwać chłód od ciągle wiejącego wiatru, do którego nieoczekiwanie dołączył śnieg, jaki w końcu spowodował poważną zamieć. Powróciwszy do stromego wzniesienia, postanowiłem wspiąć się nim z powrotem na szczyt grzbietu, zakładając taką możliwość na podstawie informacji woźniców, którzy zgodzili się wciągnąć moje sanie z rzeczami. Kazałem wtedy wyrąbać szczebelki i po nich wspinałem się coraz wyżej i wyżej. Tak też uczyniliśmy. Ułożyłem się w saniach, kazałem zamknąć na głucho i leżałem nieruchomo przez całą drogę. Na przystankach na wzniesieniu, które były konieczne dla wykonania nowych stopni, moje sanie podtrzymywało czterech woźniców. Wspinając się w taki sposób dość długo, usłyszałem nagle ich radosny krzyk: „szabas”. Znaczyło to, że moje sanie były już na szczycie grzbietu, o czym przekonałem się sam w tej chwili, gdy poczułem, że moje pionowe położenie w nich nagle stało się pionowym. Radośni Tunguzi zaczęli wyciągać mnie z ciasnego zakorkowania w saniach jak jakiś worek z rzeczami i dobroduszenie uśmiechając się do mnie, zaczęli pozdrawiać po tunguzku wraz ze szczęśliwym finałem niebezpiecznego przejazdu, objaśniając przy tym za pomocą gestykulacji, ile im to nastręczyło trudności! W odpowiedzi na to pozdrowienie sięgnąłem do portfela po zapłatę, a poza tym kazałem ich ugościć herbatą. Lecz okazało się, że jej tu nie ma, a pozostała wraz z resztą zapasów w saniach czekających na placu na dole do czasu, kiedy nie wtaszczy się ich na górę po wyrąbanych już stopniach. Tunguzi zadowoleni z mojej jałmużny oraz podnieceni czekającą ich gościnną migiem ruszyli po nie w dół; jedni siedzący na niedźwiedzich skórkach wyciągniętych z moich sań, które służyły mi za pościel, szybko zeszli ze szczytu, inni opierając się o zastrzone kije bardzo szybko prowadzili renifery. Patrzyłem z zadowoleniem na zwinność i jednych i drugich, lecz zadziwiała mnie śmiałość niektórych, którzy ryzykowali rozbiciem sobie głowy o wystające w niektórych miejscach skaliste zbocza gór, których się przytrzymywali przy zejściu. Wszystko jednakże zakończyło się pomyślnie i w ciągu niecałej godziny sanie zostały wciągnięte na górę, a samotny placyk na szczycie grzbietu ożywił się wesołym towarzyskim gwarem, żartami, głośnym śmiechem oraz skrzącymi się ogniskami, wokół których przygotowywano jedzenie, a w kociołkach ważyło się masło wytwarzane z mleka reniferów dla Tunguzów. Od nich dowiedziałem się, że zejście z góry nie było tak strome jak wejście i nie jest w ogóle niebezpieczne, że ciągnie się ustępami więcej niż trzy wiorsty po równym terenie i w końcu, że będziemy zjeżdżać saniami bez reniferów. I w rzeczy samej zjechaliśmy szczęśliwie.

Kiedy już wszystko było gotowe, aby zakończyć przystanek, przywiązali renifery z tyłu moich sań długimi sznurami, a ja wygodnie ułożyłem się w nich jak w łóżku, woźnica zaś usiadł półobrotem w tym miejscu, które w saniach jest zazwyczaj przeznaczone dla stangreta i zwiesił nogi na zewnątrz; lewą ręką trzymał się za kozła, a zaostrzonym kijkiem po lewej stronie nadawał im właściwy kierunek i podtrzymywał je na niekiedy ostrych zakrętach. Zjeżdżaliśmy z góry prawie godzinę, a o ósmej wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg w pierwszej powarni na terenie okręgu wierchojańskiego.

**20 marca 1875 r.** Przejechałem dziś 70 wiorst tylko reniferami i w ciągu ośmiu godzin dotarliśmy do powarni moldzegolskiej, do której 10 ostatnich wiorst trzeba było jechać rzeka Janą, i tu pozostaliśmy na nocleg. W połowie



tego odcinka trafiła nam się do odpoczynku jedna z najwstrętniejszych powarni (Tirkus-Urus), przypominająca bardziej chlew niż przystań dla przyjezdnych; tutaj jedliśmy obiad i piliśmy herbatę, podczas gdy nasze renifery szukały sobie w pobliżu pokarmu, wykopując kopytami spod ziemi mech, który rósł obficie zarówno na stokach gór, jak i na nizinach.

Rzeka Jana, nad brzegiem której stoi powarnia moldżegowska, jest w tym miejscu dość szeroka; rozpoczyna swój bieg w odnogach grzbietu wierchojańskiego od jego wschodniej strony, po czym biegnie na północ i, robiąc liczne zakręty, przechodzi wąską przestrzenią pomiędzy górskimi odgałęzieniami lub obszernymi terenami nizinnymi otoczonymi niewysokimi górami, po czym wpada wąskimi ujściami do Morza Lodowego.

Nad Janą leżą dwa miasta: Wierchojańsk i Ustjansk. W lasach rośnie głównie tálnik, olcha syberyjska, osika oraz topola. Można wśród nich natrafić gdzieś tam na drzewa liściaste. Tutejsi Jakuci, a zwłaszcza Tunguzi, wymieniają tálnik na rosyjskie ręczniki oraz serwety. Po zdjęciu z młodego drzewa kory skrobie się ją ostrym nożem i robi z niej bardzo cienkie, białe jak papier, miękkie ściereczki służące do owijania na drogę filiżanek oraz spodków, czyszczenia stołów oraz wycierania ust i rąk po posiłku. Podczas dzisiejszej jazdy na każdym niemal kroku spotykaliśmy mnóstwo kuropatw. Woźnice opowiadali mi, że mnożą się one tutaj w niezmiernej ilości. Ptaki te zimą są bardzo białe i mają puszyste łapy (podobne do króliczych), którymi Tunguzi ozdabiają swoje jurty, przyczepiając je do ścian na przemian z ich skrzydełkami lub ogonami rozpostartymi na kształt wachlarza. Są bardzo zadowoleni, jeśli ktoś z przyjezdnych zwróci uwagę na ich ozdoby i obdarowują go wtedy kilkoma ogonkami z odpowiednią ilością nóżek i skrzydełek na znak pamięci, a bardziej z nadzieją, że obdarowany odwdzięczy im się srebrną monetą.

**23 marca 1875 r.** Po noclegu w suruchtachskiej stacji pocztowej znów wyruszyliśmy w drogę i jednym zaprzęgiem przejechaliśmy 90 wiorst, zatrzymując się po drodze co 15-20 minut na nie dłużej niż pięć minut. Z tego można wyciągnąć wniosek, że podróżowanie reniferami jest dużo wygodniejsze niż końmi, które po pierwsze, nie mogą na raz przebiec tak długiego odcinka bez odpoczynku, a po drugie, tracą po drodze dużo czasu na szukanie trawy, którą w ciągu całej zimy nauczyły się zdobywać same, wykopując ją spod śniegu. Renifery biegną bardzo szybko i w ciągu godziny wykonują około 20 wiorst, a przy małym ponagleniu pędzą przez trzy, cztery wiorsty w takim tempie, że od tej szalonej jazdy często zapiera dech w piersiach. W ogóle podróżowanie przy pomocy reniferów jest bardzo przyjemne, a bieg tych zwierząt równomierny i lekki, szczególnie podczas silnych mrozów; wtedy wydają się dziarskie i wcale nie zmęczone, podczas gdy wiosną są osłabione i w trakcie jazdy szybko się męczą. Zmęczyły się także renifery, którymi przyjechałem wczoraj do silieńskiej stacji pocztowej, gdzie do tej pory (11 rano) oczekuję, aż wydobrzeją. Już nocą woźnice rozpoczęli ich poszukiwania w tajdze, ponieważ renifery pasą się zazwyczaj na wolności, bez żadnego dozoru i tylko w przypadkach koniecznych szuka się ich po śladach. Wskutek takiego postępowania miejscowych zwierzęta oddalają się czasami na kilkadziesiąt wiorst, a przybysz musi oczekiwać na nie bardzo długo, czego z pewnością przyjdzie mi dziś doświadczyć.

**25 marca 1875 r.** Z wielkim trudem udało mi się dotrzeć do powarni Etjach wraz ze zmęczonymi reniferami, które bez przerwy wiozły mnie z silieńskiej stacji pocztowej i w ciągu trzech dób przebiegły 250 wiorst. Powożących Jaku-

tów niewiele niepokoiło zmęczenie zwierząt, martwili się tylko o siebie i prawie podczas każdej przerwy gotowali sobie rybę nazywaną tutaj dżelga, w którą obfituje rzeka Jana. Ich obiad trwał zawsze nie więcej niż 15 minut, ponieważ Jakuci mają w zwyczaju jeść wszystko na wpuł surowe, a na dodatek bez soli; dlatego nie sprzeciwiałem się ich częstym posiłkom, które dostarczały mi pewnego rodzaju rozrywki, a także dawały możliwość zabicia nudy. Zajmowały mnie i palące się ogniska i ich krzątanina oraz opowieści, które przekazywał mi przewodnik-kozak; dzięki nim mogłem sobie wyrobić pojęcie o tym głuchym kraju, gdzie przez cały dzień nie można było spotkać na drodze ani jednej żywej istoty. Dziś na przykład dowiedziałem się, że w tutejszych stronach, poczynając od przeprawy przez grzbiet wierchojański, w ogóle nie można spotkać niedźwiedzi, a żyją tu tylko wilki, lisy, zające, czarne wiewiórki i dzikie renifery. Wilki wyrządzają Jakutom wiele szkód, polując na bydło oraz konie, lecz na ludzi nigdy nie napadają. Z gatunków ptaków można tu spotkać tylko białe kuropatwy, lecz w dużo mniejszej ilości niż w pobliżu masywu wierchojańskiego. Do wilków nie strzela się, lecz poluje za pomocą sidła wykonanych z końskich włosów lub stawia się niewielkie pułapki tak jak na lisy. Kuropatwy żyją na terenach nizinnych, gdzie rosną krzewy, a także w tundrze, gdzie żywią się szyszkami małosrojej brzozy. W lasach, przez które dzisiaj przejeżdżałem, rosną tylko cedry na miejscach wyżynnych. Rośnie na nich gdzieś niedługo wysoki, zgrabny talnik tworzący wielkie zagajniki, pomiędzy którymi można znaleźć przestronne, sianokosne bagna, lecz ich trawy nigdy się nie kosi. Koło Jany przejeżdżaliśmy dziś co najmniej 30 razy, ponieważ robi ona tutaj wiele zakrętów i zakoli.

**27 marca 1875 r.** Od ostatniego noclegu podróżowałem już końmi, na które musiałem czekać do 10 rano, ponieważ wypożyczało się je od Jakutów żyjących pojedynczo w jurtach, które stoją od siebie w odległości od 10 do 15 wiorst. Pomimo że wyruszyliśmy późno, przejechałem tego dnia, a konkretnie w ciągu 11 godzin, 105 wiorst podstawianymi (w dwóch miejscach) końmi i przybyłem do Wierchojańska wczoraj o dziewiątej wieczorem. Komu było dane odbywać długie podróże, ten z łatwością zrozumie, jak się uradowałem, obudziwszy się w ciepłym i schludnym pokoju po noclegach w tych odrażających, zimnych i brudnych powarniach oraz cuchnących jakuckich jurtach, które były moją jedyną przystanią w ciągu dwutygodniowej tułaczki. Gospodarz, mający kwaterę dla przyjezdnych, oczekiwał mnie z już gotową herbatą. Jego serdeczne przyjęcie oraz typowa tylko dla Sybiraków bezinteresowna uczynność pozwoliły mi zapomnieć na jakiś czas wszelkich doznanych po drodze niewygodach. Przy herbacie z gadatliwym gospodarzem doczekałem północy. Przekazał mi on ważne informacje o okręgu kołymskim, gdzie miałem mieszkać bez możliwości wyjazdu przez dwa lata.

**28 marca 1875 r.** Pomimo wszelkich moich oczekiwań byłem zmuszony zostać w Wierchojańsku do pierwszego kwietnia. Nie zdążyłem zrobić już nic więcej jak tylko przyjrzeć się miastu, które okazało się podobne do Wilujka, tylko że mniejsze. Wierchojańsk leży na wschodnim brzegu Jany, 900 wiorst od Jakucka, na szerokim terenie nizinnym otoczonym niewysokimi górami. Stoi w nim 14 drewnianych domów bez dachów z niezgrabnymi kominami, sufity z zewnątrz są umazane gliną i przykryte grubą warstwą ziemi, okna bez szyb, zamiast których wstawiono lód, siedem rosyjskich i około 15 jakuckich jurt; pomiędzy rosyjskimi jurtami jedna wyróżnia się bardzo dokładnym wykończeniem na zewnątrz oraz wewnątrz. Znajduje się ona przy głównej ulicy, zakupio-

na na własność przez lekarza oddelegowanego w tym czasie co ja do obwodu jakuckiego; potem dwa urzędowe budynki drewniane z dachami; w jednym z nich mieści się siedziba policji. Na koniec niewielka drewniana cerkiew z dużą ilością okien (szklanych) jak w każdym domu mieszkalnym. Budynki ogólnie są brzydkie, domy rozrzucone bez żadnego rozplanowania, w jednym miejscu skupione, a w innym stoją pojedynczo. Wielkie kupy śmieci wokół nich utrudniają nie tylko wyjazd, lecz także wejście na podwórze. Ludność miasta to jeden lub dwa rody kupieckie, stacjonujący kozacy, mieszczenie, chłopci pochodzenia rosyjskiego oraz Jakuci. Poza tym jest dwóch kapłanów, z których jeden mieszka w Wierchojańsku, okręgowy isprawnik, jego pomocnik, dwóch albo trzech kancelistów oddziału policji oraz okręgowy felczer.

Głównym sposobem zdobywania pożywienia przez tutejszą ludność jest rybołówstwo oraz hodowla bydła, natomiast zbóż z powodu surowego klimatu i warunków glebowych nie uprawia się w ogóle, choć można spotkać ogrody, w których sadzi się buraki, kapustę, rzepę, marchew, rzodkiew i ziemniaki. Niestety, nie zawsze udaje się je wyhodować. Ogórki sadzą w niewielkich, wąskich, drewnianych skrzynkach, które zazwyczaj stawiają w pokojach na oknach zwróconych na południe. Pielęgnują je całe lato i tylko w sierpniu udaje się uzyskać 20 do 30 płodów, z których nieliczne są w miarę duże. Cebuli i chrzanu nie uprawia się wcale. Zboża sprowadzają z Jakucka, a w mąkę żytnią oraz w kaszę zaopatrują się też w tym mieście, gdzie jest sprzedawana taniej niż w miejscowym sklepie prowadzonym przez okręgową jednostkę policji: opłata za pud wynosi cztery ruble i 80 kopiejek, Sól, ołów oraz proch, których tylko konkretna ilość jest tutaj wysyłana każdego roku z okręgowego urzędu jakuckiego, można nabyć także jedynie w oddziale policji. Osiadli w mieście Jakuci, podobnie jak niektórzy mieszczenie i chłopci, zajmują się przemysłem zwierzęcym, futra wymieniają z kupcami na produkty żywnościowe oraz przedmioty niezbędne w gospodarstwie. Mieszkający tu kupcy handlują po domach różnymi drobiazgami i skupują od Jakutów futra, jeżdżąc po całym okręgu; płacą za nie herbatą cegiełkową, cukrem, czerkieskim tytoniem, tanimi chustkami, wstążkami i innymi rzeczami.

To wszystko, co można powiedzieć o tym małym miasteczku, które jest gorsze od innej rosyjskiej osady, lecz jeśli chodzi o sposób zarządzania, to można je porównać ze stołecznym miastem europejskim Turcji, dwa razy mniejszej od okręgu wierchojańskiego, którym niczym padiszach rządzi okręgowy isprawnik na niemalże tych samych zasadach.

**1 kwietnia 1875 r.** Dziś w samo w południe, po pięciodniowym odpoczynku, jaki znudził mi się aż do obrzydzenia, pożegnałem się z Wierchojańskiem. Już o 17.30 zatrzymałem się na nocleg w uroczysku „Czinchajach” należącym do wierchojańskiego naczelnika, który mnie sprowadził. Rozłożyliśmy się w zbudowanej przez niego jurcie, odznaczającej się schludnością oraz wyposażeniem. Połowę z niej zajmowały dwie komnaty przeznaczone dla przyjezdnych urzędników oraz kupców i była ona oddzielona; stało tutaj łóżko z materacem wypchanym sierścią i obleczonym perkalem, krzesła stolarskiej roboty z poduszkami, także obleczone perkalem; w kącie wisi obraz Zbawiciela w srebrnej ramie z pozłacanym wieńcem; gładkie i czyste ściany były ozdobione litografią oraz obrazami przedstawiającymi dom carów (począwszy od Aleksandra Błogosławionego), a także bohaterów roku 1812. Pod ścianą, z lewej strony przy wejściu do jurty, pomiędzy dwoma oknami (z szybami zamiast

lodu) stał czworokątny, bardzo długi stół, przykryty papierową, kolorową serwetą, a poza tym w każdym kącie znajdował się trójkątny stolik. Cała podłoga była zasłana grubym płótnem. Komin, zrobiony na wzór rosyjski, ogrzewał oba te pokoje. Umieblowanie pomieszczenia wywarło na mnie bardzo przyjemne wrażenie i chętnie zgodziłem się spędzić tutaj czas do następnego ranka, chociaż nie byłem zmęczony dzisiejszą jazdą.

**3 kwietnia 1875 r.** W ciągu dwóch i pół godziny przejechałem 265 wiorst i tylko raz zmieniłem renifery w adyczewskiej stacji pocztowej oraz przybyłem dziś do kolejnej położonej nad brzegiem jeziora. Droga wszędzie była równa, lecz z wieloma zakrętami w lasach, przez które głównie musiałem jechać. Biegła ona na wschód od Jany do rzeki Indigirka. Ostatecznie Jana pozostała daleko za nami, więc nie było już stromych zejść i wzniesień wydłużających jazdę, tylko w trzech czy czterech miejscach trzeba było przeprowadzić się przez maleńkie rzeczki, lecz przerzucone przez nie były małe mostki z balustradami z drzewa modrzewiowego. Na końcu tego odcinka ocknęliśmy się pod wielką górą o owalnej formie (takie góry nazywają tutaj golcami), a wspiąwszy się na jej szczyt, schodziliśmy 10 wiorst w dół stromym zboczem do samej stacji pocztowej. Renifery biegły równomiernym truchtem, czasami w takim tempie, że obawiałem się, że sanie się przewrócą. Tak się jednak nie stało i pokonałem tę odległość w ciągu 45 minut.

**12 kwietnia 1875 r.** Wczoraj przybyłem do ebeljachskiej stacji pocztowej, z której pozostało 670 wiorst do Średniekołymska. Zatrzymałem się tu na dwa dni z powodu Świąt Wielkiej Nocy (dziś sobota). Ta stacja leży na wschodnim brzegu jeziora. Pływa w nim ryba zwana majagaską, podobna do łososia i ważąca 15 funtów, a także bardzo długi szczupak o długości półtorej arszyna lub więcej. Znamienne, że według opowiadań Jakutów w żadnym z jezior okręgu wierchojańskiego nie można znaleźć karasi, podczas gdy w okręgu wilujskim jest ich pod dostatkiem. To samo można powiedzieć o czyrach, które żyją tylko w największych jeziorach, a to jedna z najlepszych ryb w Jakucji. Latem nad jezioro przylatuje mnóstwo łabędzi, gęsi i różnego rodzaju kaczek, wśród których najczęściej jest siwek, turkawek i morskich nurków. W okolicznych lasach żyje pełno lisów: czerwonych oraz czarno-białych (te ostatnie pojawiają się każdego roku), dzikich reniferów, gronostajów oraz czarnych wiewiórek; jest tutaj wiele wilków, a niedźwiedzi bardzo mało. Zimą i latem można spotkać pełno kuropatw.

**13 kwietnia 1875 r.** Już po raz drugi przyszło mi spędzać święta Wielkiej Nocy, jak to się mówi, za dziewiątą górą. W 1872 r. spędziłem je na Sachalinie wśród zesłanych z Rosji przestępców, a teraz na dalekiej północy, w głuchej tajdze zasypanej głębokim śniegiem, z niewielką jakucką rodziną, której głowa jest właścicielem ebeliachskiej stacji pocztowej. Podobnie jak prawosławni Jakuci urządzają sobie ceremonię rozgławiania już pierwszego dnia świątecznego, wykorzystując do tego kuropatwę i krowią głowę, które od samego świtu zaczynają gotować w całości. Kiedy kuropatwa jest już w odpowiedni sposób przygotowana, wtedy stawiają ją na stół pod obrazami z podniesioną do góry głową, rozpostartymi skrzydłami i rozstawionymi nogami. W takiej pozycji pozostaje ona na około dwie godziny, tzn. do tej pory, do kiedy nie ugotuje się krowia głowa. Wtedy cała rodzina oraz wszyscy obecni ubrani w świąteczne stroje stają przed siedzącą kuropatwą i zaczynają się modlić oraz gorączkowo żegnać, a także składać do ziemi pełne oddania pokłony. W takiej postaci modlitwa ta trwa prawie godzinę w całkowitym milczeniu. Po niej głowa rodziny

dzieli kuropatwę na małe kawałki i zaczyna się całować z każdym po trzy razy, mówiąc za każdym razem: „Chrystus zmartwychwstał” oraz oddając każdemu po kawałku mięsa. Po tym wszyscy członkowie rodziny składają sobie kolejno życzenia, dzieląc się kawałkami ptaka, które są zamiennikiem naszych malowanych jaj. Pozostałą na stole kuropatwę zjadają w mig. Zaraz po tym wszyscy siadają wokół stołu, stawiają na nim gotowaną, gorącą krowią głowę podzieloną na dość duże kawałki i spożywają bez chleba i soli. Tym samym kończy się cały proces rozgławiania, po którym rzadko kto pamięta, aby się przeżegnać czy złożyć pokłon. W taki sposób Jakuci witają Święto Wielkiej Nocy oraz dzień św. Mikołaja (dziewiątego maja), który uważają za równie ważny jak inne główne święta doroczne.



Tradycyjny ubiór jakucki

**15 kwietnia 1875 r.** Rano, w drugi dzień świąt, wyjechałem z ebeliachskiej stacji pocztowej. Przejechałem 170 wiorst do dzisiejszego noclegu w powarni w Omuch-uoch-kelia. W ciągu tych dwóch dni trzeba było przeje-

chać koło wielu jezior, z których największe to Otta-Chattah mające w obwodzie więcej niż 30 wiorst oraz jezioro Abyj, dużo mniejsze od pierwszego. Otta-Chattah jest ważne choćby dlatego, że leżą na nim dwie ruchome wysepki, koło których przejechaliśmy dziś rano. Położone są one 300 sążni od trasy pocztowej biegnącej wzdłuż jeziora. Według opowiadań Jakutów wyspy te zmieniają swoje położenie, przesuując się to w jedną to w drugą stronę zgodnie z kierunkiem wiatru, który pojawia się tutaj każdego roku w porze letniej. Jedna z tych wyseppek ma w obwodzie około wiorsty, a druga jest dwa razy mniejsza. W jeziorze Otta-chattah jest dużo omula (bardzo smaczna i delikatna ryba) o wadze od dwóch do 15 funtów oraz szczupaka, którego waga dochodzi do jednego puda i więcej. Innych gatunków ryby spotyka się w tym jeziorze bardzo mało. Miejsce, przez które przejeżdżałem w ciągu tych dwóch dni, było dużo bardziej zaludnione niż poprzednie. Po drodze spotkałem już naslegi, tzn. skupisko kilku jurt otoczonych zawsze tłumem ciekawskich Jakutów, których najwyraźniej zainteresował nasz transport. Kłaniali nam się nisko, gdy tymczasem stado psów odprowadzało nas szczekaniem jeszcze z wiorstę.

**16 kwietnia 1875 r.** O pierwszej po południu dotarłem do brzegów Indigirki, dokąd odprowadził mnie członek wierchojańskiej starszyny. Rzeka ta jest szeroka, bystra i bardzo kapryśna. Zimą jej szerokość wynosi nie więcej niż 50 sążni i płynie ona leniwie swoim korytem.. Od jej wschodniego brzegu zaczynają się lasy liściaste, pełne wysokich pagórków, przez które biegnie bardzo wąska ścieżka, jednak wygodna dla jazdy. Po przejechaniu 15 wiorst znaleźliśmy się nad małą rzeczką, do której zejście jest wysokie na trzy sążnie, a do tego tak strome, że kajurzy musieli wypręgać renifery, a moje sanie spuścić w dół. Jeszcze bardziej strome było wzniesienie na przeciwległy brzeg rzeki. Wspięcie się na niego z zaprzęgiem reniferów było praktycznie niemożliwe, dlatego kajurzy zostawili sanie z prowiantem na miejscu, renifery puścili wolno, aby szukały sobie pokarmu pod śniegiem, a mnie wsadzili do lekkich sań i wciągnęli na brzeg. Sto sążni od brzegu stała pojedyncza jurta, dawno już porzucona przez gospodarza, bez drzwi i okien, ale z całym paleniskiem, na którym, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, skrzył się ogień rozpalony przez przysłanego tutaj jeszcze rano Jakuta z rozkazu prowadzącego mnie członka starszyny. Pobyliśmy tutaj niedługo, ponieważ zamiast obiadu trzeba było zadowolić się herbatą, gdyż renifery zaczęły szukać mchu pod głębokim śniegiem. O szóstej wieczorem szliśmy już dalej, a o siódmej trzydzieści dowlekliśmy się do jedynej jurty Chottonach stojącej nad brzegiem jeziora Uriuchin. Ma ono pięć wiorst w obwodzie i poza szczupakiem nie pływają w nim żadne inne ryby.

**17 kwietnia 1875 r.** Dziś jazda była wyjątkowo męcząca: wąska, jak wszędzie dróżka, niekończące się zakręty, strome wzniesienia i zejścia, a w końcu śnieg głęboki na ponad dwa arszyny. Jednakże udało się nam pokonać 60 wiorst w tym najbardziej głuchym i pustynnym miejscu. Renifery były już tak zmęczone, że z trudem dociągnęły nas o 10 wieczorem do kolejnej powarni, gdzie ostatecznie zatrzymaliśmy się na nocleg. Okazała się ona jednak bardzo niewygodna, z pewnością już dawno nikt się w niej zatrzymał, ponieważ drzwi były zamknięte, okna bez lodu, a ściany, podłoga i nary pokryte zlodowaciałym szronem, natomiast z sufitu zwisały długie i grube sople lodu. Zaczęły one jednak szybko topnieć od palącego się ognia i zamieniły się w spadające na nas krople wody, od których nie mogły ochronić mnie i moich rzeczy ani renife-

rowe skóry, ani inne okrycia przygotowane naprędce. Mało tego. Kiedy położyliśmy się spać o drugiej w nocy (tutaj od połowy kwietnia zorza trwa przez całą noc), spod podłogi wybiegły gronostaje i zaczęły baraszkować we wszystkich kątach w poszukiwaniu pożywienia. Prawie w tym samym czasie, a może wcześniej, stadko takich samych zwierzątek wyszło z lasu i zabrało się do moich sań, wciskając się do worków z prowiantem. Taki nieoczekiwany obrót spraw zerwał wszystkich na nogi, zaczęła się ogólna bieżanina, gadanie, śmiech i uzbrajanie w pałki, ale zanim kajurzy zabrali się do karania tych nocnych łobuzów, one już zdążyły uciec do lasu lub skryć się w górach pod głębokim śniegiem. Ten nocleg był ostatnim w okręgu wierchojańskim, ponieważ za 20 wiorst stąd znajduje się granica okręgu kołymskiego, jaką stanowi grzbiet alazejski.

**18 kwietnia 1875 r.** O 12.30 za dnia przybyliśmy do podnóża gór alazejskich, a w ciągu godziny wspięliśmy się na najwyższy szczyt, na wysokość ponad pięciu wiorst. Góry te są tak wysokie, że rzucają się w oczy już z odległości 40 wiorst, a na ich szczytach widać ciemną powierzchnię lasów urozmaiconą małymi, białymi plamkami oznaczającymi jeziora. Na niewielkim placu grzbietu sterczą gdzieś w dużej odległości od siebie stare, zmartwiałe modrzewie, które przypominają sobą coś w rodzaju wysokich kijów wetkniętych w ziemię. W najwyższym miejscu tego placu stoi drewniany krzyż, od którego zaczyna się zejście z góry na terytorium okręgu kołymskiego. Samo zejście widocznym skłonem było bardzo łatwe. Renifery mknęły nadzwyczaj szybko, w czasie krótszym niż 45 minut i przebiegły pięć wiorst, kiedy to znaleźliśmy się u stóp góry. O siódmej trzydzięci wieczorem przybyliśmy do pierwszej powarni okręgu kołymskiego, gdzie zostałem na nocleg, żeby dać reniferom dużo czasu na odpoczynek, gdyż musiały przejechać jeszcze 130 wiorst do stacji pocztowej.

**20 kwietnia 1875 r.** Renifery z wielkim trudem dotaszczyły moje sanie do kolejnej stacji pocztowej o godzinie szóstej wieczorem, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg i skąd ruszyliśmy dalej psim zaprzęgiem. Miejscowość, przez którą przejeżdżałem w ciągu ostatnich dwóch dni, nie różniła się niczym od poprzednich, tylko jeziora można było spotkać częściej. Naliczyłem ich około 15. Wszystkie są małe. Na ostatnim leży kilka ruchomych wysepek porośniętych lasem liściastym i z każdym rokiem zmieniających swoje miejsce. Z ryb w tym jeziorze Jakuci łowią przeważnie szczupaka, chociaż żyje w nim tylko kilka gatunków drobnej ryby.

**21 kwietnia 1875 r.** Dziś przejechałem ponad 100 wiorst z tymi samymi psami, zatrzymując się po drodze tylko dwa razy na nie dłużej niż półtorej godziny, aby nakarmić je drobną rybą nazywaną munduszka. Do moich sań zaprzężono 11 psów parami, jedna przed drugą, a jedenasty, wytresowany biegł na przedzie. W ciągu godziny wykonywały 11 wiorst, nie okazując przy tym najmniejszego zmęczenia. Chociaż jazda psim zaprzęgiem była dość szybka, to niezupełnie przyjemna; przede wszystkim nieznośne było ich wycie podczas postoju na posiłek, co czasami zmuszało kajura do uciszania ich grubą, długą pałą. Poza tym, psy gryzły się między sobą i tym samym zmuszały do częstych przystanków. Nie patrząc na to, jechaliśmy bardzo szybko i o 10 wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg w jurcie nad brzegiem jeziora. Dziś przejeżdżaliśmy koło 18 jezior. Wszystkie niewielkie z wyjątkiem Kuranach-unnuna (10 wiorst długości i 6 szerokości). Żyje w nim tylko szczupak i brunatka, nazywana tutaj białą rybą spożywaną w zamrożonej formie zwaną stroganiną. Na brze-



gu jeziora Uczugiej-keł można znaleźć latem na ziemi kość mamucią, którą tutejsi mieszkańcy sprzedają kupcom po 10 rubli za pud.

**22 kwietnia 1875 r.** O szóstej wieczorem przybyliśmy do ostatniej stacji pocztowej, od której do Średniekołymska było 150 wiorst. Stąd wyruszamy już konno. Stacja leży nad brzegiem Alazei mającej szerokość 10 sążni. Jest ona bardzo głęboka i ma strome brzegi; podczas letnich wylewów woda podnosi się i zalewa okoliczne miejsca na dużą odległość. Z ryb w rzekach żyje: czir, nalim, szachur i jelić. Jadąc dziś z psami 70 wiorst, spotkaliśmy po drodze 11 dużych i małych jezior. W nich wszystkich pływa tylko szczupak oraz drobna, przezroczysta ryba.

**23 kwietnia 1875 r.** Jazda końmi nie była tak szybka jak psim i reniferowym zaprzęgiem. W ciągu dnia przejechaliśmy tylko 60 wiorst i zatrzymaliśmy się na nocleg w powarni. Podróż spowalniał nierówny teren oraz liczne doły z wybojami, na których ciągle trzeba było podtrzymywać sanie rękami, żeby się nie przewróciły. Poza tym zdarzały się strome zejścia do jezior, przez które trzeba było przejechać. 24 kwietnia o 10 wieczorem przybyliśmy do Średniekołymska.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła Anna Mrozowicka*

\*

Tekst pierwotnie opublikowany był w zbiorze pt. „Driewnaja i Nowaja Rossija”, 1880, tom XVIII, s. 641-733, pt. *Tri goda w siewiero-wostocznoj Sibiri za poliamym krugom*. W roku 2007 Władysław M. Łatyszew przygotował zbiór opracowań T. M. Augustynowicza (1809-1891), Polaka, lekarza i przyrodnika pozostającego w służbie rosyjskiej, wielce zasłużonego dla badań przyrodniczych i etnograficznych na terenie Jakucji oraz na Sachalinie. Książka ta nosi tytuł *Żyż ruskich i inorodcew na ostrowie Sachalin*, Južno Sachalińsk. Publikowany tekst pochodzi właśnie z tego zbioru, a kolejne fragmenty dotyczące opisów T. M. Augustynowicza zamieszczone zostaną w następnych numerach „Zesłańca”, potwierdzając, że wbrew rozbiorem Rzeczypospolitej Obojga oraz zesłaniom na Syberię dali Polacy dali tej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności. Zdjęcie na s. 23 pochodzi z publikacji *БИСЬЛАХ: Туһумаада – Элэй – Үс Хатын*, Якутск 2005. (red.)